

Krzysztof
Spadło

Skazaniec

Tom VIII



 Silver Lemon

Krzysztof Spadło

Skazaniec

PROJEKT OKŁADKI:
Dariusz Herbowski

ZDJĘCIE:
Dariusz Herbowski

KOREKTA I REDAKCJA:
Małgorzata Wawrzyniak

ISBN:
978-83-953568-2-7

WYDAWCA:
KAGO

KONTAKT:
kago@skazaniec.com

Copyright © 2019 Krzysztof Spadło & KAGO

www.skazaniec.com
krzysztof.spadlo@skazaniec.com

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub
całości bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I 2019

Wydrukowano w CEWE sp. z o.o.



VIII tom, który zamyka cykl więziennej epopei, dedykuję wszystkim, którzy bezinteresownie poświęcili dla „Skazańca” swój wolny czas, zapal i energię. Kłaniam się nisko w pas i jeszcze raz, serdecznie dziękuję za Wasze nieocenione wsparcie. W postwui natkniecie się na coś, co być może sprawi, że egzemplarz TEJ właśnie książki, zyska dla Was bezcenną wartość.

tom VIII

Świat u stóp

Chyba już pora poświęcić kilka zdań Bugajczykowi. Robię to niechętnie, bo ten psi chujek wcale sobie nie zasłużył, żebym marnował mój cenny czas na opowiadanie o tym, jakim był skurwysynem.

Swojego czasu usłyszałem od żony Babinicza, że jaśnie pan kierownik mieszka w okazałym domu niespełna dwadzieścia kilometrów stąd. Ponoć miał żonę i dwóch dorosłych synów. W Państwowym Przedsiębiorstwie Rolnym pracował od drugiej połowy lat siedemdziesiątych i od początku piastował funkcję głównodowodzącego. Nie był lubiany przez pracowników, bowiem trzymał wszystkich na krótkiej smyczy. Przez te długie lata tak przywykł do władzy, że nie liczył się z nikim i z niczym. To chyba prawda, że niektórym ludziom zajmującym wysokie stanowiska z czasem zaczyna odbijać. Bugajczyk traktował wszystkich z góry. Potrafił innych obrażać i zachowywać się jak cham. Ponoć kiedyś zwołał zebranie pracowników przedsiębiorstwa w niefunkcjonującej już stołówce. Ludzie zasiedli przy stołach, nic się jeszcze nie działo, więc rozmawiali między sobą. Cóż mieli robić, prawda? Kierownik wyszedł na środek, a gwar trwał nadal. Bugajczyk zaczął coś mówić, a w pewnym momencie wrzasnął:

– Cisza! Jak wół ryczy to obora słucha!

Fizyczni przyjęli to na klatę, ale damulki pracujące w biurze były oburzone jego słowami. Któraś z nich zwróciła mu uwagę, żeby zważał na to co mówi. Wtedy on ponoć spojrział na nią groźnym wzrokiem i warknął wskazując drzwi:

– Wynocha mi stąd i to już!

Miesiąc później ta kobieta zwolniła się z pracy na własną prośbę.

W budynkach należących do przedsiębiorstwa mieściły się zakładowe mieszkania. Łącznie żyło w nich trzydzieści rodzin. Z tych trzydziestu rodzin blisko czterdzieści osób pracowało w PPR Jelcz-Laskowice i oni stanowili większość zatrudnionych. W obawie przed utratą pracy, a tym samym miejsca zamieszkania

nie podnosili głosu i nie byli w opozycji przeciw kierownikowi. Prawdę powiedziawszy oni właśnie budowali jego wierny elektorat. Najlepszym przykładem był Tadek Gawroński... W każdym bądź razie Bugajczyk miał dzięki nim tak silną pozycję, że był nie do ruszenia. Oczywiście po drodze zdarzyło się kilka pisemnych skarg, które w formie anonimów zostały wysłane na adres dyrekcji we Wrocławiu. Jednak w tych sprawach nic nie zostało zrobione, bowiem pod wodzą kierownika filia przynosiła zyski, a szefostwo z tego powodu było bardzo zadowolone. Na dodatek w roku 1985 tutejsze przedsiębiorstwo zdobyło laur Najlepszego Gospodarstwa Państwowego w rejonie dolnośląskim. Z tego tytułu wszyscy pracownicy otrzymali premię uznaniową w wysokości trzymiesięcznego uposażenia. Grzechem i głupotą byłoby zwolnić człowieka, pod którego wodzą odnotowywano wyłącznie spektakularne sukcesy.

Drugie oblicze kierownika, które miałem poznać na własnej skórze, nie było już tak imponujące. Osobiście uważam go za człowieka zawziętego i bezdusznego. Wyobraźcie sobie, że pewnego razu przyjechał mnie skontrolować. To wydarzyło się już po tym, kiedy Gawroński przestał się pałętać i sprawdzać, jak sobie radzę. Bugajczyk tłukł się nocą dwadzieścia kilometrów swoim prywatnym samochodem. Nie podjechał autem pod szlaban, tylko zaparkował wóz nieopodal remontowanego pałacu. Chciał mnie zaskoczyć. Nie wiem na co liczył, może na to, że przydybie mnie śpiącego? Była dokładnie dwudziesta trzecia czterdzieści pięć, kiedy kierownik cichaczem wkroczył do stróżówki. Ja w tym momencie siedziałem za stołem, oglądałem jakiś program telewizyjny i zjadałem kanapkę. Na widok Bugajczyka o mało kęs nie utkwiał mi w gardle. Naprawdę byłem zaskoczony. Zaszedł mnie.

– Co? Zdziwieni jesteście? – Rzucił spoglądając na mnie z góry.

– Każdy na moim miejscu byłby zaskoczony, widząc kierownika o tej porze – odparłem i podniosłem się z krzesła.

– A o której wy robicie obchód? – Nie pytał tylko warczał.

– Co dwie pełne godziny – rzekłem – pierwszy o dwudziestej drugiej, następny o północy, potem o drugiej i czwartej. Tak jak pisze w zakresie moich obowiązków.

Bugajczyk nic nie odpowiedział, tylko zaczął się rozglądać po pomieszczeniu, jakby chciał znaleźć coś, do czego mógłby się przyczepić.

– Śmieci mi tutaj nie magazynujcie – wzrokiem wskazał na kosz, który był ledwo zapełniony w połowie.

– Nie magazynujemy – specjalnie użyłem liczby mnogiej, jakbym chciał mu przypomnieć, że nie tylko ja tutaj urzęduję.

– Rano otwórzcie szlaban przed piątą, bo traktorzyści będą wcześniej wyjeżdżać w pole! – Rozkazał władczym tonem.

– Oczywiście panie kierowniku – odparłem i skinąłem głową.

Bugajczyk chrząknął, spojrział na mnie i rzekł:

– Pilnujcie dalej – a następnie obrócił się na pięcie i wyszedł na zewnątrz.

Pieprzony pajac! – Syknąłem w myślach, po czym wyłączyłem telewizor i zgasilem światło. Nim opuściłem stróżówkę podszedłem do okna. Postać jaśnie pana kierownika kroczyła otwartym placem i majaczyła niczym czarny cień na tle ulicznych latarni.

Nigdy byście nie zgadli, co Bugajczyk zrobił później. Dacie wiarę, że facet przyjeżdżał każdej nocy, kiedy pełniłem służbę przez następne dwa tygodnie! Zawsze zjawiał się tuż przed północą, ale na ostatnie odwiedziny przyjechał o wpół do czwartej rano. Z tego to już naprawdę chciało mi się śmiać, bo sytuacja była niemalże komiczna. Zobaczyłem przez okno, że od strony jezdni skręca samochód. Nim auto wjechało pomiędzy dwa słupy, do których były zamocowane pióra zardzewiałych prętów starej, ozdobnej bramy, kierowca zgasił światła. Wzrok na szczęście mam dobry i chociaż dopiero zaczynało świtać, rozpoznałem furę Bugajczyka. Jakiś diabeł mnie podkusił, żebym zagrał kierownikowi na nosie i szybkim krokiem wyszedłem ze stróżówki. Podszedłem do rogu budynku. Nie wychylałem się.

Odczekałem chwilę. Usłyszałem, jak auto zatrzymało się, a następnie w porannej ciszy do moich uszu dotarł dźwięk delikatnego trzaśnięcia drzwiami. W tym samym momencie wyjąłem szluga, zapaliłem i wychyliwszy się zza rogu, cwaniacko oparłem się barkiem o ścianę budynku. Bugajczyk, dzierżąc w dłoni swój neseser, zmierzał w kierunku szlabanu. Zapewne szedł normalnie, ale ja uległem złudzeniu, że on się skrada. Dostrzegł mnie dopiero po kilku krokach.

– Dzień dobry panie kierowniku – powiedziałem z uśmiechem na ustach. – A cóż pan dzisiaj tak wcześnie?

– Czasami sytuacja tego od nas wymaga, żeby zacząć dzień prędzej niż zwykle – odburknął. Natychmiast skręcił w prawo i ruszył prężnym krokiem w kierunku schodów wiodących do budynku administracji.

Przysięgam na Boga, że ledwo powstrzymałem się, żeby nie parsknąć szczerym śmiechem. Jeden zero dla mnie, frajerze! – Szepnąłem w duchu, a w myślach usłyszałem doniosłe fanfary zwycięstwa.

Po tym kretyńskim incydencie Bugajczyk odpuścił, a ja miałem nadzieję, że odpiędzieli się już ode mnie na dobre.

Z początkiem września do przedsiębiorstwa został przyjęty nowy pracownik. Tym człowiekiem był Pędrak. Mam nadzieję, że pamiętacie jak w jednym ze swoich skoroszytów pisałem o moich wyprawach do osiedlowego spożywczaka i o tym, jak widywałem po drodze młodego kolesia, który drażnił mnie swoim zachowaniem. To właśnie był ten typek.

Z tego co dowiedziałem się później, w jego umowie o pracę widniało, że został przyjęty na stanowisko pracownika fizycznego. Pojęcie bardzo ogólne, prawda? Bo kimże jest u licha pracownik fizyczny bez żadnej specjalności? Jest kurde nikim przez duże „N”. Nikim. Popychadłem. Pachołkiem od czarnej roboty i gównianych zajęć. Pracownik fizyczny, czyli ktoś bez wyuczonego zawodu, może jedynie pełnić zaszczytną funkcję ciecia.

Wtedy nawet do głowy mi nie przyszło, że za pół roku zostaniemy, jakby powiedział Johnny Alcatraz, najlepszymi friendami. Nigdy w życiu bym nie przypuszczał, że ja, starzec po dziewięćdziesiątce, będę miał prawdziwego przyjaciela młodszego o całe siedemdziesiąt dwa lata. Czasami zastanawiam się, dlaczego przeznaczenie spłotło nasze ścieżki życia? Ktoś mógłby stwierdzić, że to bzdura, że człowiek nie powinien zastanawiać się nad takimi sprawami. Jednak ja nie potrafię zaakceptować teorii, że nasz los jest czysto przypadkowy. Wierzę, że wszystko, co się dzieje w naszym życiu, ma swój konkretny cel. Tak samo jest z wiarą w Boga. Przyjmujemy Jego istnienie, jako niezaprzeczalny fakt i na tym fundamencie budujemy swoją egzystencję. Z duchowych przekonań wyrastają nasze poglądy, dzięki nim wznosimy hierarchię własnych zasad i hołdujemy cennym wartościom. Być może ludzie, którzy negują byt Stwórcy mają rację, ja nie staram się udowodnić, że prawda leży po mojej stronie. Wiara w Boga daje mi jeden, bardzo ważny aspekt.

Nadzieję.

Miałem okazję w swoim życiu toczyć rozmowy z różnymi ludźmi. Wśród nich byli także zagorzali ateści. Pytając ich o to, co nas czeka po śmierci, w odpowiedzi zawsze słyszałem:

– Nic. Po śmierci nie ma nic. Światło gaśnie, zapada ciemność i jest koniec.

Całe lata temu wydawało mi się to niedorzeczne i pozbawione sensu. Dziś jednak mam na ten temat zupełnie inne zdanie. Może już o tym wspominałem w swoich zapiskach, może zaczynam się powtarzać, ale nie szkodzi. O ważnych sprawach warto przypominać. Otóż uważam, że każdy ma rację. Każdy bez względu na swoje wyznanie czy jego ewidentny i zagorzały brak. Katolik, muzułmanin, buddysta, prawosławny, hindus, baptysta, protestant... przyjmijmy, że właśnie wymienilem wszelkie możliwe kultury i religie świata. Wszyscy mają rację. Ateści również. Moim zdaniem każdego spotka po śmierci to,

w co uwierzył za życia. Jeśli ktoś jest przekonany, że istnieje raj, to na pewno tam trafi. Jeśli ktoś wierzy w reinkarnację, to narodzi się ponownie. Jeśli ktoś twierdzi, że po śmierci jest nicość, pozna jej oblicze. W to właśnie wierzę i na tym gruncie ciągle buduję swoje wyobrażenia. Często o tym myślę. Przeważnie nocą, kiedy leżę już w łóżku zaczynam marzyć, gdzie chciałbym zawitać, kiedy krew zastygnie w mych żyłach. Tak, dobrze czytacie, marzę o tym. W umyśle tworzę wizję miejsca, w którym się pojawię, kiedy na tym świecie moja podróż przez życie dobiegnie końca. Tam dokąd się wybieram nie będzie przemocy, zła i niegodziwości. Nie będzie grzechu, krzywdy i bólu. Powołuję do życia miejsce pozbawione biedy i bogactwa, wyzute z pychy i próżności. Ech, dużo mógłbym o tym pisać, naprawdę dużo. O wiecznym błękitnym niebie i radosnym słońcu, o górskich szczytach mających u kresu horyzontu, na który będę spoglądał, siedząc wieczorem na werandzie swojego domu. Jednak najważniejsze, że obok mnie będzie cudowna dziewczyna o pięknych, szmaragdowych oczach, która dawno temu skradła mi serce. Wierzę nawet w to, że ona już tam na mnie czeka...

Dobra, starczy tego słodkiego pierdzenia bo czas naprawdę nagli, a ja zaczynam się tutaj rozmiękczać i toczę fantastyczne opowieści, zamiast pisać o rzeczywistości, która minęła.

Tak jak wspomniałem wcześniej, we wrześniu w szeregach pracowników zawitał Dariusz Lasota, używający pseudonimu Pędrak. Ten osiemnastoletni młodzieniec wydawał mi się wtedy człowiekiem całkowicie wyzutym z jakichkolwiek ambicji. Nie wyglądał na przygłupa lub niemotę, a wykonywał zajęcia, którymi można było obarzyć byle pierdołę. Zachodziłem w głowę, czemu koleś idzie na łatwiznę? Czy kierowało nim zwykle lenistwo, czy też czuł się całkowicie nieprzystosowany do realiów współczesnego świata? A może tylko grał? Może chodziło o zwykłą wygodę i życie w myśl sentencji – a dajcie mi wszyscy święty spokój!

Chłopak został jednoosobowym oddziałem sprzątającym. Całymi dniami kręcił się po placu z wiadrem i szczotką w dłoniach. Zamiatał śmieci, coś wynosił, przestawiał, słowem dbał o czystość, a ruchy miał tak powolne, że aż wstyd.

Jednego wieczoru idąc na obchód, zobaczyłem, że obok kontenera leży sterta podartych kartonów. No jeszcze, żeby to faktycznie przypominało stertę. Wszystko było rozpierniczone bez sensu, walało się bez ładu i składu, a gdyby jeszcze dmuchał wiatr, to pewnie ten cały szajs fruwałby dookoła. Posprzątałem ten bajzel, ale pomyślałem sobie, że rankiem zwrócę uwagę temu szczyłowi, aby lepiej się przyłożył do swojej roboty. Nie miałem zamiaru zasuwać za niego.

Dochodziła za pięć szósta, kiedy zobaczyłem po drugiej stronie okna, jak nasz czołowy cieć leniwym krokiem zmierza w stronę wejścia na teren gospodarstwa.

Zapaliłem szluga i wyszedłem na zewnątrz.

Kiedy Pędrak minął szlaban, odezwałem się:

– Cześć kolego, możemy zamienić kilka słów?

– Witam. O co chodzi? – Zapytał i posłał mi uśmiech.

Zaraz przestaniesz szczyrzyć ząbki – szepnąłem w duchu.

– Wiesz, bardzo bym się cieszył, jeśli nie będziesz mnie obarczał swoimi zajęciami.

– Jakimi zajęciami? – Wydawał się autentycznie zaskoczony.

– Wczoraj wieczorem, obok kontenera był totalny syf. Jakieś potargane kartony, papierzyska, stare opakowania... wszystko się walało pod nogami. Sprzątnąłem śmieci. Zrobiłem porządek, chociaż mógłbym się na to wypiąć, a ty miałbyś dziś nieprzyjemności z tego powodu. Przecież to twoja robota, a nie moja – stwierdziłem.

Łeppek wzruszył ramionami i marszcząc groźnie brwi, powiedział:

– Trzeba było zostawić.

Jego słowa zabrzmiały tak, jakby ich synonimem była kwintesencja stwierdzenia „Po co mi to w ogóle mówisz? Nie wi-

dzisz, że ja mam wszystko w dupie!”. Kurde, trzema krótkimi słowami zbił mnie z tropu. Sądziłem, że powie coś w stylu: – „przepraszam, to już się więcej nie powtórzy”, ukorzy się, zrobi dobrą minę do złej gry, a ten cwaniak odpyskował i poszedł dalej. Najzwyczajniej w świecie zignorował mnie. Nie spodziewałem się takiego zachowania. Nie oczekiwałem, że będzie mnie całował w tyłek, liczyłem jedynie na odrobinę wdzięczności i skromne podziękowanie. Wiadomo, że najczęściej oceniamy innych po pierwszym wrażeniu i powiem wam, że moje było cholernie negatywne.

Oczywiście daleki byłem od tego, żeby udać się do Bugajczyka i uprzejmie mu donieść o zaistniałej sytuacji. Jaśnie pan kierownik byłby jeszcze w stanie pomyśleć, że staram się zadziobać albo na ostatniej prostej zyskać status donosiciela, bo za niespełna trzy tygodnie upływał termin mojego angażu. Ten fakt nie spędzał mi snu z powiek, ale przyznam się wam, że czułem niepewność. Nie miałem powodów, żeby się obawiać o swoje stanowisko, ale moja kariera w Państwowym Przedsiębiorstwie Rolnym z jakichś nieznanych mi przyczyn mogła się na przykład zakończyć wraz z okresem zawartej umowy. Tak to już bywa, że czasami człowiek martwi się na zapas. Wiecie o czym mówię, prawda? Zapewne to uczucie wcale nie jest wam obce.

W ostatnim tygodniu września, Bugajczyk spodziewał się odwiedzin kilku ważniaków z dyrekcji. Nastąpiła nerwowa atmosfera, gdyż kierownik chciał zrobić jak najlepsze wrażenie na wizytujących. Całymi dniami biegał po placu jak oparzony i ryczał na wszystkich, że wszędzie ma być wzorowy porządek. W tym czasie Pędrak odgruzowywał budynek starej chlewni, w której wtedy mieścił się składzik rzeczy zbędnych i nikomu niepotrzebnych. To, czego nie dało się spalić, miał wywalić na śmietnik, a wewnątrz ścian wybiałkować wapnem. Ledwo się z tym uporał, a Bugajczyk zlecił mu nowe zadanie. Dariusz Lasota miał pokryć miksturą wapna oraz białej, kredowej farby, wszystkie

krawężniki oraz linie ciągnące się przed wiatami i magazynami. Tym sposobem Pędrak awansował na stanowisko nadzornego malarza. Panika, którą stworzył kierownik, urosła do rozmiarów chorej paranoi. Kazał pucować ciągniki, naczepy i kombajny. Nawet opony miały lśnić. W magazynach miał panować steryl-ny porządek, a worki z nawozami musiały stać w równiuseń-kich sztaplach, niczym kompanie wojska. Metalowe konstrukcje podtrzymujące wiaty oraz wszystkie drzwi zostały pomalowane olejną, zieloną farbą. Każdy zamek w drzwiach dostał szprycę smaru WD-40, a każda kłódka została oczyszczona z rdzy i so-lidnie zakonserwowana olejem. Wszelkie niedociągnięcia typu pęknięta siatka w płocie, albo koślawo wiszący odpływ dachowej rynny, zostały zreperowane. Palety i drewniane skrzynki ogrodowe, najpierw porządnie ułożono, a następnie przykryto brezentową płachtą. W ciągu kilku dni obraz przedsiębiorstwa zmienił się nie do poznania. Jego teren wyglądał rzeczywiście, jak wzorcowe gospodarstwo. My z Gawrońskim też mieliśmy w tym swój udział. Naszym zadaniem było wypastować podłogę w stróżówce i umyć okna.

– Tu ma być błysk! – Rozkazał Bugajczyk. – Nie chcę widzieć żadnych śmieci, żadnego rozgardiaszu i na koniec pościerajcie jeszcze kurze!

Facet naprawdę chciał zrobić wrażenie na swoich przełożo-nych.

Wizytacja zjawiała się w czwartek, dwudziestego siódmego września. Około godziny czternastej, kiedy wracałem z miasta, pod budynek administracji zajechał osobowy samochód. Z po-jazdu wysiadła szykowna babeczka i dwóch kolesi odzianych w ciemne garnitury. Panowie dzierżyli w dłoniach eleganckie nesesery. Bugajczyk wyszedł im naprzeciw. Był miły, uśmiech-nięty i kłaniał się w pas, jakby witał najważniejsze osoby w tym państwie. Pomyślałem, że brakuje jeszcze czerwonego dywanu na schodach, dętej orkiestry i dzieci rozrzucających płatki kwia-

tów. Jaśnie pan kierownik płaszczył się przed gośćmi z grymasem zachwytu przyklejonym do swojej fałszywej gęby. Aż trudno było uwierzyć, że to ten sam człowiek, który zaledwie kilka dni temu dostawał nerwowych spazmów na placu i wszystkich wyzywał od cymbałów i matołów. Koleś doskonale wiedział, kogo może ujeżdżać, a przed kim ma bić pokłony. W głębi duszy miałem nadzieję, że osoby wizytujące wystawią Bugajczykowi pochwalną laurkę. W przyszłym tygodniu upływał termin trzymiesięcznej umowy, którą zawarłem z PPR Jelcz-Laskowice i kto wie, może moja przyszłość zależała również od dobrego humoru kierownika? Chyba czasami człowiek, a szczególnie będąc pod presją, przesadza i zbyt pochopnie wyciąga nierealne wnioski. Układa sobie w myślach ciąg zdarzeń, które mogą nastąpić, chociaż nie ma ku temu żadnych konkretnych i sensownych przesłanek. Łatwo jest wydumać sobie ideę i uwierzyć w jej istnienie.

Tak właśnie było ze mną pod koniec września.

Czwartego października kończyła się moja umowa o pracę i chwilami nabierałem przekonania, że Bugajczyk da mi kopa. Nie przyłapał mnie na lekceważeniu obowiązków, niczego nie mógł mi zarzucić, ale miał prawo nie przedłużyć mojej umowy i wykpić się na przykład redukcją etatów albo jakimś innym gównianym powodem. Uwierzycie, że nawet przyszło mi do mojego starego, durnego łba, że Pędrak wskoczy na moje miejsce? Serio tak pomyślałem. Dlatego w głębi duszy zależało mi, żeby przybyła z dyrekcji wizytacja, wznosiła pochwalne hymny na cześć jaśnie panującego tu kierownika. Jego sukces, mógł być dla mnie zbawienny w skutkach. Zbliżała się jesień. Chłodne, deszczowe dni. Później zima. Mróz. Śnieg. Mając na uwadze jedynie nadciągającą aurę, martwiłem się o swoją przyszłość. Stracić robotę i mieszkanie późną wiosną lub z początkiem lata, to jeszcze pół biedy, ale wylądować na bruku jesienią, to już inna bajka. Przez ostatnie trzy miesiące żyłem naprawdę bardzo oszczędnie. Udało mi się doprowadzić do sytuacji, że ani razu nie musiałem

sięgnąć po wsparcie, do moich zasobów finansowych zdeponowanych w banku PKO. To osiągnięcie uważałem za nie lada sukces. Wiele razy myślałem o tym, że jeśli wynajęłbym jakieś mieszkanie, za taką samą kwotę, jaką potrącano mi tutaj, to byłbym w stanie przeżyć. Jednak problem w tym, że za sto osiemdziesiąt tysięcy, mogłem zapomnieć o czymkolwiek. Czynnosc za zakładowe mieszkanie dla pracownika PPR Jelcz-Laskowice był po prostu symboliczny. Wynajęcie kawalerki w bloku na osiedlu, kosztowało tutaj trzysta tysięcy samego odstępnego, drugie tyle wynosił czynsz i do tego należało jeszcze doliczyć media. Komuś takiemu jak ja, czyli człowiekowi z najniższym uposażeniem emerytalnym, nie wystarczyłoby nawet na same opłaty. A gdzie cała reszta?! Któregoś dnia pokusiłem się, żeby obliczyć swoje szanse. Z rachunków wychodziło jasno, że gdybym stracił robotę i musiał wynająć jakiś kąt, to żyjąc nadal na skromnym poziomie tak jak teraz, przetrwałbym z oszczędności i bieżącej emerytury przez dwa lata i cztery miesiące. Tylko co później?! To właśnie był problem. Co kurde później? Wystarczyłoby jedno losowe zdarzenie, jakiś pech, choroba i po mnie.

Bugajczyk trzymał mnie za jaja i byłem uzależniony od jego widzimisię.

Tego dnia, kiedy wizytowali ludzie z dyrekcji, wypadła moja nocka. Tradycyjnie o dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt pięć, kroczyłem w kierunku stróżówki. Zauważyłem, że na pierwszym piętrze w budynku administracyjnym, w kilku oknach nadal płoną światła.

Samochody zaparkowane po stronie, gdzie znajdowało się wejście do biura, sugerowały, że odwiedziny wrocławskich ważniaków nadal trwają.

Kiedy zamykałem szlaban, w holu rozległy się czyjeś głosy i nagle w drzwiach ujrzałem Bugajczyka oraz wizytującą switę.

– Jak państwo widzicie – powiedział kierownik i wskazał dłonią w stronę oświetlonego placu przedsiębiorstwa – tak właśnie

wygląda nasza filia nocą. Wszystko jest oświetlone i sumiennie pilnowane przez pracownika.

– Panie Bugajczyk – odezwała się jedyna kobieta w towarzystwie – to gospodarstwo na pewno zasługuje na miano wizytówki całego przedsiębiorstwa, a wypracowanych wyników finansowych, mogą wam pozazdrościć pozostałe filie. Osobiście jestem pod dużym wrażeniem i mam nadzieję, że panowie również. – Kobieta spojrzała w kierunku dwóch mężczyzn, z którymi tutaj przybyła.

Panowie przytaknęli głowami, a jeden z nich dodał:

– Oczywiście!

Potem wszyscy podeszli do samochodów, zaczęli się żegnać, a ja obróciłem się na pięcie i wróciłem do stróżówki po latarkę.

Przez okno widziałem, jak oba pojazdy ruszyły i skierowały się w stronę jezdni.

Słowa, które usłyszałem kilka chwil temu poprawiły mi humor. Chwalili tego buca i dobrze, niech chwała! Niech mu będzie, niech ma! Ważne, żebym ja dzięki temu mógł spokojnie spać. Przynajmniej przez kolejne pół roku.

Wolnym krokiem ruszyłem na obchód.

Wszystko grało.

Cisza, spokój i porządek.

Jednak kiedy dotarłem do wiaty gdzie parkowały traktory, przyczepy i kombajny, zobaczyłem, że za tylnym kołem jednego z ciągników leżą jakieś przedmioty.

Podszedłem bliżej i szepnąłem do siebie:

– A to co?!

Przez chwilę spoglądałem na dwa metalowe kanistry o pojemności 10 litrów każdy oraz narzędzia, rozłożone na brezentowym etui. To był zestaw kluczy oczkowych.

Do tej pory nigdy nie zdarzyło się, żebym znalazł jakieś pozostawione przez pracowników rzeczy. Gawroński swojego czasu wspominał, że w takim wypadku mam wszystko zabrać na stróżówkę i następnego dnia zgłosić o zaistniałym incydencie.

Pod rączką jednego z kanistrów była wetknięta kartka papieru. Wziąłem ją w dłoń i skierowałem na kartkę światło latarki. To była WZ-ka, czyli Wydanie Zewnętrzne towaru z magazynu. Na terenie przedsiębiorstwa znajdowały się dwa dystrybutory paliwa, które były pod jurysdykcją osoby rządzącej na magazynie. Jednak czasami bywało tak, że w szczególnych wypadkach, mniejszą ilość paliwa wydawano w kanistrach. Z WZ-ki wynikało, że asortyment został pobrany w dniu dzisiejszym przez Kmicińskiego. U dołu dokumentu widniała nieczytelna parafka i pieczętka głównego magazyniera, a tę funkcję pełniła Róża Makucz. Wiedziałem, która to kobieta, ale nigdy nie zamieniłem z nią nawet słowa. Słyszałem też, że u niej wszystko musi grać i nie ma żadnego wydawania towaru na ładne oczy. Podpisy, kartoteki, potwierdzenia odbioru, wydania i zwrotu były po prostu święte. Oryginał bumagi zostawał w magazynie, a kopię otrzymywał pracownik. Trudno się dziwić, że pani magazynierka była bardzo restrykcyjna, ale ciążyła na niej odpowiedzialność finansowa za asortyment znajdujący się na stanie wyposażenia.

Cóż miałem zrobić? Wetknąłem kwit do kieszeni, zwinąłem klucze w brezentowy pokrowiec, który włożyłem pod pachę, chwyciłem w dłonie kanistry i ruszyłem w kierunku stróżówki. Po drodze zastanawiałem się, jak mam postąpić? Zgłosić ten fakt kierownikowi, czy najpierw pogadać z Babiniczem? Wiedziałem, że chłop na bank będzie miał z tego tytułu nieprzyjemności. Bugajczyk byłby w stanie wlepić mu za to naganę finansową. Zatrzymałem się i spojrzałem na zegarek. Dochodziła dwudziesta druga trzydzieści. Jeszcze nie jest tak późno – stwierdziłem w duchu i niemal natychmiast postanowiłem, że jeśli okna w mieszkaniu Kmicińskich będą jeszcze płonąć światłem, zostawię fanty na stróżówce i pójdę pogadać z Babiniczem. Po coś kręcić niepotrzebną aferę, weźmie co jego, sprawa zostanie między nami i będzie git! Nikt nie musi niczego wiedzieć, a tym bardziej kierownik.

Z oddali dostrzegłem, że w kuchni Kmicieńskich pali się światło. Pomyślałem, że może lepiej nie kusić losu i zamiast szwendać się wte i wewte, zaniósę wszystko Babiniczowi i niech dalej robi co chce. Byłem dokładnie pośrodku oświetlonego placu, kiedy nagle błysnęły reflektory samochodu zaparkowanego przed szlabanem. Snop światła uderzył prosto we mnie. Poczułem się jak aktor, odgrywający kulminacyjną scenę w teatralnym spektaklu. Zamarłem w pół kroku. Najpierw usłyszałem trzaśnięcie drzwiami, a potem rozległ się donośny głos Bugajczyka:

– A cóż wy robicie?! Co to ma znaczyć?!

Nie zdążyłem nawet położyć kanistrów, kiedy kierownik stanął przede mną w rozkroku, wspierając dłonie na biodrach.

– Co tutaj się dzieje?! – Prawie wrzeszczał, a ja miałem wrażenie, że za chwilę przyłoży mi z otwartej dłoni w gębę. – Kradniecie?!

– Nie panie kierowniku. Nie kradnę. Postępuję według ustalonych wytycznych – odparłem drżącym głosem, gdyż błyskawicznie zdałem sobie sprawę, że z pozoru ta sytuacja wyglądała zupełnie inaczej.

– Jakich wytycznych?! Skąd to macie?!

– Podczas obchodu zauważyłem, że obok jednego z ciągników leżą dwa kanistry i zestaw kluczy – uniosłem nieco dłoń, w której trzymałem brezentowy pokrowiec. – Któryś z pracowników musiał zostawić...

– A niby który?! Co wy mi tu opowiadacie za bzdury?!

Sięgnąłem dłonią po kwit WZ-ki, podałem go Bugajczykowi i rzekłem:

– Był wetknięty pod rączkę kanistra.

Kierownik przez chwilę uważnie przyglądał się zapiskom, po czym rzekł rozkazującym tonem:

– Zanieście to do mojego biura!

Obrócił się na pięcie, a ja złapałem za kanistry i ruszyłem jego śladem.

Przez resztę nocy myślałem o tym, że spotkał mnie pieprzony, cholerny niefart. Prawdziwy pech, aczkolwiek nie miałem pojęcia, dlaczego Bugajczyk wrócił? Zapomniał czegoś, czy może chciał mnie skontrolować? Przyłapać na czymś niewłaściwym i tym samym zwieńczyć swój dzisiejszy sukces moim zwolnieniem z pracy? Nie mam pojęcia

Wiedziałem, że muszę ostrzec Babinicza. Muszę mu powiedzieć, jak się sprawy mają.

Rankiem, kiedy stałem przed drzwiami do stróżówki i ćmiłem fajkę, zobaczyłem Kmicińskiego, jak wychodzi w swoich wyświechtanych ogrodniczkach z klatki schodowej. Ruszyłem mu na spotkanie.

– Witaj sąsiedzie. Wczoraj zostawiłeś coś obok ciągnika...

– Ja pierdola – warknął przez zaciśnięte zęby. – Wziółżeś to? Wziółżeś? – Zapytał z nieukrywaną nadzieją w głosie.

– Wziółłem, chciałem ci to nawet wczoraj wieczorem przynieść do mieszkania, ale Bugajczyk mnie z tym drapnął...

– Bugajczyk?! – Wpadł mi w zdanie. – Co ty pierdolisz?! Kurwa!

– Wczoraj przed dziesiątą skończyła się ta cała wizytacja – starałem się mu wyjaśnić. – Nim poszedłem na obchód, spod biurowego budynku odjechały wszystkie samochody. Potem znalazłem twoje rzeczy i kiedy z nimi siedłem, okazało się, że Bugajczyk wrócił się po coś. Zobaczył mnie na środku placu, dźwigającego w dłoniach kanistry.

Babinicz spoglądał na mnie zaskoczonym wzrokiem i nagle syknął z pretensjami w głosie:

– Po kiego chuja żeś je broł? Mioleśżeż je zostawić! Ni ruszać! Ja pierdola!

Splunął pod nogi, machnął ręką, jakby chciał powiedzieć, że wkurwiłem go do łez i odszedł.

Sterczałem w miejscu i czułem, że zuchwa bezwiednie opada mi w dół. Że niby co?! – Odezwałem się w myślach – że niby to ja jestem temu winien?!

Afera skończyła się tak, że Kmicieński poszedł bez premii, która jak na złość we wrześniu była bardzo wysoka. Nie wiem ile dostali inni. Jeśli przyznano ją każdemu pracownikowi i owo uposażenie, stanowiło trzydzieści procent miesięcznego wynagrodzenia, bo takiej wielkości kwotę otrzymałem, to tak poważna strata musiała go bardzo zboleć. Poza tym dla obojga państwa Kmicieńskich zostałem od tamtej pory wrogiem numer jeden. Wiem, że się skarżyli i obgadywali mnie przed ludźmi. Łatwo coś takiego wyczuć, a jeszcze prędzej zobaczyć. Kiedy idziesz i z daleka widzisz, że twój sąsiad z kimś rozmawia i nagle ta druga osoba zaczyna się tobie bacznie przyglądać, to do jakich dojdiesz wniosków? Ano do takich, że gadają o tobie. Żaden z nich się nie uśmiecha, tylko patrzą w twoją stronę, jakby czekali aż się potkniesz i upadniesz. Cóż zrobić, tacy są właśnie ludzie.

Nie mam pojęcia, czy Bugajczyk docenił moją szczerość i uczciwość, czy też doszedł do wniosku, że jednak jestem rzetelnym i solidnym pracownikiem. W każdym bądź razie czwartego października podpisałem kolejną umowę, która tym razem opiewała na okres sześciu miesięcy. Obeszło się bez zbędnych komentarzy i pouczeń kierownika. Właściwie to on nic wtedy nie powiedział. Wskazał mi tylko miejsce, gdzie mam złożyć swoje parafki i było po zawodach.

To był mój dobry dzień.

Do kwietnia mogłem spać spokojnie.

W roku 1990 słynna polska, złota jesień nie miała okazji do pełnego okazania swego cudownego i uroczego oblicza. Na tydzień przed moimi urodzinami północny niż atmosferyczny przyniósł ochłodzenie i opady deszczu. Kolorowy świat w ciągu kilku dni przeistoczył się w smutny, zapłakany padół. Z okna mojego pokoju na poddaszu miałem okazję widzieć, jak korony drzew w parku, w zastraszającym tempie tracą liście. Ich nagie gałęzie z oddali wyglądały jak czarne, powyginane szpony,

pragnące sięgnąć i rozpruć skłębione brzuchy ponurych chmur, sunących przez toń szarego nieba. Drobną, nieustającą mżawka dopełniała dzieła i za jej sprawą, krajobraz po drugiej stronie okna wyglądał tak, jakby cały świat szlochał z żalu. Pociuszające było jedynie to, że kotłownia, która ogrzewała budynki należące do przedsiębiorstwa, hulała pełną parą. Palacz nie żałował węgla, a kaloryfery były tak gorące, że po mieszkaniu chadzałem w podkoszulku. Oczywiście aura za oknem nie nastrajała człowieka w pozytywny sposób, a ja zauważyłem, że jestem coraz bardziej markotny. Chryste Panie, nawet nie macie pojęcia, jak bardzo wtedy dokuczała mi samotność. To było straszne. Po prostu straszne. Tylko ja i cztery głuche ściany. Byłem tak przybity, że nie chciało mi się nawet gadać do samego siebie. Wszystko mnie zaczynało drażnić, nawet głos spikera w radio, kiedy czytał wiadomości. Nie potrafiłem się skupić na czytaniu. Niby śleczalem nad książką, a jednak sens słów umykał i rozplýwał się w mojej głowie.

Pustka.

Cisza.

Niemoc.

W dniu moich dziewięćdziesiątych urodzin schodziłem z nocki. Już wcześniej postanowiłem, że muszę ten dzionek odpowiednio uczcić, bądź co bądź zaczynałem dziewiąte dziesięciolecie, a to już nie było w kij pierdział. Poważna data, poważny wiek.

Zdrzemnąłem się kilka godzin, bo jednak po nieprzespanej nocy, człowiek jest trochę otępiący. Kiedy poszedłem się umyć i ogolić, i kiedy tak stałem przed lustrem, patrząc na swoje pomarszczone odbicie, stwierdziłem, że wyglądam bardzo niechlujnie. Powodem były moje włosy. Zarosłem kurde, zarosłem jak stary cap. Przyglądziłem moją lichą czuprynę z jednej strony, przyglądziłem z drugiej i nadal było fatalnie.

– Powinieneś zafundować sobie fryzjera – powiedziałem w kierunku odbicia, które spoglądało na mnie z lustrzanej tafli.

– To bardzo przyzwoity prezent, a na dodatek cholernie praktyczny. – Pochyliłem się nieco w przód i patrząc na moje kudły, stwierdziłem w myślach, że raz na trzy miesiące mógłbym zrobić z sobą porządek.

Własne urodziny to wręcz idealna okazja, żeby człowiek mógł bez wyrzutów sumienia roztrwonić trochę grosza. Przecież każdemu coś się od życia należy, prawda? Jaki jest sens toczyć egzystencję pełną wyrzeczeń? Po co? Chyba tylko po to, żeby później żałować i pluć sobie w brodę, iż nigdy się nie zaszalało. Postanowiłem rozwalić trochę szmalu.

Oczywiście w granicach rozsądku.

Zaliczyłem fryzjera.

Tył i boki zażyczyłem sobie na krótko, a z góry zostawiłem trochę sierści. Na tyle, żebym mógł się czasami sam potarmosić. Pani fryzjerka spryskała mnie również wodą kolońską o intensywnym zapachu lawendy i powiem wam, że od razu poczułem się jak konkretny gość.

Pogoda była fatalna, a ta cholerna mżawka miała chyba zamiar padać do końca świata i człowiek nie mógł spokojnie pospacerować po mieście. Żadna przyjemność krążyć bez celu, kiedy z nieba coś siąpi i kapie. Nawet na ławce nie można przysiąść. Do bani z taką aurą.

Tamtego dnia miałem na sobie kurtkę i doskonale wiedziałem, że w tym wdzianku nie przetrwam zimy. Nogi same powiodły mnie do komisju rzeczy używanych, w tym również odzieży. Powiem wam, że trafiłem tam rewelacyjny płaszcz i solidne buty. Po prostu mistrzostwo świata. Mantel był niezniszczalny, filcowy w ciemno granatowym kolorze, chociaż z daleka wyglądał jak czarny. Przymierzyłem. Szyty na mnie jak na miarę! Idealny. Od razu poprawił się mój wisielczy humor. Natomiast używane trampy w rozmiarze 42 może i miały kilka lat, ale wyglądały jak obuwie nie do zdarcia. Skóra. Nie jakiś tam półprodukt. Prawdziwa skóra i tęga podeszwa. Ciemnobrązowe, wysokie za kostkę

i sztywne w pięcie. Fakt, czubki były zorane, ale któż przejmowałby się takim detalem? Za szykowny płaszcz i konkretne buty właściciel życzył sobie sto sześćdziesiąt tysięcy. W normalnym sklepie musiałbym za te dwie rzeczy wyłożyć z trzysta patoli, a ja jeszcze utargowałem dziesięć tysiaków. Wiecie co mnie czasami bardzo zastanawia? Mianowicie to, skąd się kurde biorę niektóre durne ceny? Ktoś z nudów wymyśla ile co ma kosztować? Przecież niekiedy jak patrzę na kwoty, to aż mnie trzepie. Wisi na wieszaku kawałek szmaty, a cyfra taka, że nogi w kolanach mięką. No przecież to nie jest normalne. Mam wrażenie, że w tym kraju praca człowieka w ogóle nie jest doceniana. Zresztą nie ma sensu nad tym się rozwlekać. Szkoda czasu, słów i nerwów. Utargowałem dziesięć tysięcy i w związku z tym miałem kolejne fundusze na przyjemności. Wdepnąłem do najbliższego sklepu ogólnospożywczego z zamiarem zakupu napoju, który służy do wznoszenia toastów. Miałem ochotę na łyk prawdziwej wiśniówki. Niestety wybór był bardzo skromny. Jediną kolorową wódką okazała się gorzka żołądkowa. Zaopatrzyłem się w ćwiartkę oraz w paczkę ekskluzywnych papierosów, marki marlboro.

Zbliżało się południe, kiedy przemoczony, zmarznięty ale szczęśliwy, wróciłem na swoje poddasze. Wystarczyło, że tylko spojrzałem na mój nowy płaszcz, który powiesiłem na gwoździu wbitym w ścianę obok drzwi wejściowych i od razu gęba uśmiechała mi się od ucha do ucha. Może niektórych z was to śmieszy, ale ja od zawsze potrafiłem cieszyć się z posiadania zwykłych, praktycznych rzeczy. Wiem, że świat pomknął do przodu, wiem, że teraz większość ludzi ma wygórowane oczekiwania i zapewne byle ciuch albo trzewiki, nie sprawiają im radości. Dlatego jestem rad, że pomimo sędziwego wieku, zostało we mnie coś z dziecka i nadal potrafię czerpać przyjemności z drobnostek.

Wieczorem usiadłem w fotelu. Na szafce obok postawiłem słoik, który służył mi za popielniczkę, ćwiartkę wódeczki oraz

dwie szklanki. Jedna była pusta, a w drugiej parzyła się miętowa herbata. Z radia, które grało w kuchni, dobiegały do moich uszu dźwięki muzyki.

– Pora wznieść urodzinowy toast – rzekłem półgłosem i sięgnąłem po alkohol.

Nalałem solidną lufę do szklanki i podniosłem się z miejsca.

– A więc drogi solenizancie – zacząłem mówić sam do siebie – wszystkiego najlepszego z okazji dziewięćdziesiątych urodzin. Obyś był zdrow, bo zdrowie jest najważniejsza, a cała reszta zawsze jakoś się ułoży. Żyj spokojnie, nie pakuj się w kłopoty i czerp radość z każdego minionego dnia. Życzę ci również, żeby twój przełożony nie był dla ciebie powodem do zmartwień. Najlepiej! – Uniosłem w górę szkło i wychyliłem zawartość do dna.

Myślałem, że gorzka żołądkowa faktycznie okaże się w smaku adekwatna do napisu, który widniał na etykiecie, a ku mojemu zaskoczeniu okazało się coś zupełnie przeciwnego. Nim czubkiem języka oblizałem wargi, w ustach poczułem delikatną słodycz, a w gardle moc alkoholu. Zajarałem szluga i jak prawdziwe panisko, rozsiadłem się w fotelu.

Urodziny to najlepszy moment, żeby dokonać podsumowania klęsk i sukcesów, których przyszło człowiekowi doświadczyć. Tamtego dnia spoglądałem na swoje życie, ale brałem pod uwagę tylko ostatnie trzy miesiące i piętnaście dni. Liczyło się wyłącznie to, co przeżyłem od chwili wyjścia na wolność. 107 dni nowego życia z jednej strony wydawało się wiecznością, a z drugiej chwilą, która minęła niczym pstryknięcie palcami. Myślałem o wielu sprawach związanych z moją egzystencją. O tym, że stan mojego posiadania rośnie, że w szafie mam coraz więcej rzeczy, że planuję jeszcze kupić lampkę nocną, którą postawię na szafce obok łóżka. Nie chodzi o to, że chciałem na siłę szastać forszą, ale żeby sobie ułatwić życie. Wtedy jeszcze nie zwróciłem uwagi, że świat materialny zaczął mnie bezlitośnie wchłaniać. Tłumaczyłem sobie, że wygodnictwo i namiastka komfortu, to przecież żaden grzech. Dopiero wiele miesięcy

później zrozumiałem, że w ten sposób rekompensowałem sobie brak towarzystwa drugiego człowieka.

Tamtego wieczoru siedziałem w fotelu, ćmiłem najdroższe z możliwych szluki, sączyłem ćwiartkę wysokoprocentowego trunku i w pewnym momencie pomyślałem o czymś, o czym nie powinienem dumać.

To przyszło samo.

Zjawiło się nagle i z zaskoczenia, jakby złe duchy chciały mi uświadomić, że przeszłość zawsze będzie za mną kroczyć.

Od chwili, kiedy zostawiłem za swoimi plecami mury wronieckich kazamatów, nie zrobiłem tego ani razu. Nie zrobiłem tego, aż do dnia moich cholernych dziewięćdziesiątych urodzin. W głowie porachowałem cyfry dzisiejszej daty i jak myślicie, która Liczba Życia władała?

Jedynka.

Moja pieprzona jedynka.

Natychmiast stało się dla mnie jasne, że nim wybije północ to jeszcze coś się zdarzy.

Coś kurewsko ważnego.

Wtem moje myśli bezwiednie powędrowały do czasów, kiedy byłem skazańcem i zacząłem wspominać osoby, z którymi w więzieniu łączyło mnie coś więcej niż zwykła znajomość lub luźne koleżeństwo. Uśmiechałem się pod nosem do własnych wspomnień. W mojej pamięci zaczęły odzywać najbardziej miłe, ciekawe i zabawne przeżycia. Przed oczami wyobraźni jawiły się pogodne twarze moich serdecznych kumpli. Chwilami nawet zdawało mi się, że słyszę ich głosy i rozbawiony śmiech. Zrozumiałem, że ja naprawdę za nimi tęsknię. Za Suchym i jego poczuciem humoru, za luzackim podejściem do życia, które reprezentował Johnny Alcatraz. Za wyrozumiałością i mądrością Ojczulka, śmieszna gadką Ślązaka, przebiegłością Mańka, solidnością Antka i stanowczością Wolfa. Tęskniłem nawet za Koniem, z którym wspólnie raczyliśmy się magiczną parzączą. Już dawno temu wybaczyłem mu, że mnie zdradził

i wystawił. Było minęło, pal lichu! Myślę, że na pewno miał później takie chwile w swoim życiu, kiedy sumienie dręczyło go z tego powodu. Mimo wszystko był jednak moim dobrym kumplem i wiele razem przeszliśmy. Myślałem również o innych, o Alim, o Szogunie, wiecznie opanowanym Cyferce, o Szorpaku, który był mistrzem kulinarnych wypieków oraz o Dieterze i naszych długich rozmowach w kotłowni. Ciekaw jestem ile wyszłoby łącznie czasu, gdybym miał zebrać do kupy wszystkie najmilsze przeżycia, które dzieliłem wspólnie z tymi ludźmi. Jak sądzicie, ile by wyszło? Musiałbym liczyć w miesiącach czy latach?

W pewnym momencie spojrzałem na moją papierośnicę, która leżała obok szklanki z herbatą. Wziąłem ją do ręki i zdałem sobie sprawę z ulotności czasu. To mosiężne etui na papierosy, dostałem od Eryka von Gerswalde dokładnie sześćdziesiąt pięć lat temu. Co do dnia. W górnym, lewym rogu wieczka, kiedy człowiek spojrzy pod światło, nadal zobaczy widoczny graver. Data 17.10.1925 oraz moje inicjały S.Ż. Spoglądałem na wyżłobione cyfry i litery, i nagle zrobiło mi się cholernie smutno. Siedziałem sam. Stary człowiek pośród czterech, pustych ścian. Za oknem noc, poświata ulicznych latarni rozmywa się po drugiej stronie szyby. W uszach słyszę, jak krople deszczu dzwonią, uderzając o ceramiczną dachówkę i czuję, że lży cisną się do moich oczu.

– Przestań! – Warknąłem przez zaciśnięty zęby. – Kurwa mać, przestań! Dość tego!

Złapałem opróżnioną do połowy ćwiartkę i polałem sobie solidną lufę.

Nerwowo podniosłem się z miejsca, być może nawet zbyt energicznie, bowiem na kilka sekund, aż pociemniało mi w oczach. Chwyciłem za szklankę i jednym haustem wychyliłem jej zawartość. Chuchnąłem w dłoń zwiniętą w pięść i nagle mój wzrok spoczął na drzwiach wejściowych. W tym momencie zdałem sobie sprawę, że przez ostatnich sześćdziesiąt osiem lat, jedyną osobą, która przychodziła do mnie z przyjacielską wizy-

tą, był Dawid Lepke. Czy ktoś obcy – szepnąłem w duchu – kiedykolwiek pojawi się w tych drzwiach i powie do mnie: – Witaj staruszkule! Wpadłem do ciebie na miłą pogawędkę!

Mój Boże, przecież byłbym w stanie sprzedać diabłu duszę, żeby usłyszeć takie słowa.

Ależ mi było źle tamtego wieczoru!

Nie pamiętam, kiedy ostatni raz tak podle się czułem.

Ależ mi było wtedy źle!

Rozpaczliwie i przerażająco.

Ponura samotność czaiła się w każdym kącie. Miałem wrażenie, że czuję jej zimny oddech na swoim karku, że szepcze mi jakieś bluźnierstwa do ucha i drwi sobie ze mnie. Czy naprawdę zasłużyłem na tak potworną karę? Czy nie dość już się w życiu nacierpiałem? Za co? Cóż takiego uczyniłem? Miałem ochotę krzyknąć:

– Chryste Panie, jaki popełniłem grzech, że obarczasz mnie tak srogą pokutą?!

Tylko czy żal i pretensje cokolwiek by zmieniły? Czy nagle, dokładnie o godzinie dwudziestej drugiej trzydzieści siedem, usłyszałbym czyjeś pukanie do moich drzwi?

Nie sądzę.

Wypiłem do dna zawartość ćwiartki i nie przeczyłem, ale czułem się lekko wstawiony. Nawet stwierdziłem, że to dobrze. Może dzięki temu, jak położę się do wyrka, to sen szybciej mnie zmożę.

Niestety tak się nie stało. Leżałem w łóżku i przewracałem się z boku na bok. Nie mogłem zasnąć. W końcu przestałem się wiercić, przybrałem pozycję na wznak, wsunąłem lewą dłoń pod potylicę i tępym wzrokiem wpatrywałem się w cienie pełzające po suficie. Deszcz nadal padał, a jesienny wiatr uporczywie pogwizdywał w okiennych szczelinach. Sięgnąłem po mój kieszonkowy zegarek, który spoczywał na szafce. Wskazówki pokazywały kwadrans po jedenastej. Pomyślałem, że dokładnie za czterdzieści pięć minut zostaną pełnym dziewięćdziesięciolat-

kiem. Przekroczę granicę wieku, niczym Cezar Rubikon i wtedy w mojej głowie uderzył grom. To była właśnie ta chwila, o której wam już wspominałem. W mgnieniu oka zrozumiałem, że ja naprawdę... tęsknię za więziennym życiem. Ta myśl była tak niedorzeczna, że zrodziła się w mojej duszy obawa, czy przypadkiem nie tracę zmysłów? Jednak z drugiej strony wiedziałem, że to szczerza prawda.

Ktoś z was mógłby powiedzieć, że udzielił mi się nastrój dzisiejszego wieczoru, że stare wspomnienia i samotność zrobiły swoje, ale ja wiem, co było tego powodem.

Pieprzone piętno Liczby Życia.

W dobie dzisiejszych czasów współczesna medycyna zaczęła stosować nowo powstałe określenia. Na przykład mówi się, że ktoś markotny, przybity, załamany, przytłoczony codziennością i czujący utrapienie, ma tak zwaną depresję. Jedno uniwersalne słówko, które odzwierciedla całą gamę negatywnych uczuć i emocji. Może to i dobrze, że powstał ten wyraz. Dzięki temu nie muszę sobie strześcić języka i w obrazowy sposób tłumaczyć wam plejady ponurych dolegliwości, które mnie dopadły.

Moja codzienność przeistoczyła się w bezbarwną, monotonną vegetację. Nocka, dzień wolnego, samotne spacerunki, wyjścia po zakupy i siedzenie w domu. Nawet się nie spostrzegłem, że przeszłość zagościła w moich myślach na dobre. Niekiedy całymi godzinami potrafiłem wspominać stare dzieje i gadać sam do siebie.

Jesienne dni mijały, czas upływał, aż nadszedł pamiętny dwudziesty dziewiąty listopada. Data, która kiedyś określała mój urodzinowy numer, głęboko wyryła się w mej pamięci. Chyba tak już jest, niektórych spraw człowiek nigdy nie zapomina. Tamtego dnia przed południem byłem w bibliotece i wypożyczyłem powieść pod tytułem „Martin Eden”, której autorem był Jack London. Z opisu na rewersie okładki wynikało, że książka zawiera sporo wątków autobiograficznych, co rozbudziło nieco moją ciekawość. W przeszłości miałem do czynienia z literac-

kim warsztatem pana Londona. Ceniłem jego twórczość, bowiem potrafił pisać w porywający sposób. Z tego co pamiętałem, był jednym z nielicznych pisarzy, którego talent zabierał moją wyobraźnię w daleką podróż pełną wspaniałych przygód i urzekających widoków. Stwierdziłem, że lektura jego autorstwa będzie świetnym antidotum na moje gówniane, emocjonalne samopoczucie. Pragnąłem się wyrwać z niewidzialnych dybów, w których tkwiłem od wielu tygodni. Uciec przynajmniej na kilka godzin w świat fantazji, przemierzać krainy zakłete na stronach powieści, zapomnieć o miejscu w którym żyję, o pracy i otaczającej mnie zewsząd samotności.

Po obiedzie zamierzałem walnąć się na kojo, przykryć się kocem z wielbłądziej wełny i spędzić całe popołudnie i wieczór na czytaniu.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem, aż do momentu, kiedy spojrzałem na butelkę z olejem. Wcześniej zjadłem obiad, potem zapaliłem szluga, umyłem gary, nastawiłem czajnik, żeby zagotować wodę na herbatę i kiedy sięgałem po szklanekę w szafce, mój wzrok spoczął na butelce z olejem rzepakowym. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego w głowie zaświtała mi myśl, że kiedyś obiecałem sobie zakonserwować lugera. Miewałem takie popołudnia i wieczory, kiedy nie wiedziałem co z sobą zrobić. Nudziłem się jak pies, pałętałem się z kąta w kąt i naprawdę miałem dziesiątki okazji, żeby zająć się spluwą. Nie zrobiłem tego, palcem nawet nie kiwnąłem, a dziś akurat mnie tknęło.

Chwilę później na blacie kuchennego stołu, spoczywało parabellum zawinięte w starą szmatę.

Rozłożyłem spluwę na części i wszystkie elementy przetarłem skrawkiem materiału, który uprzednio obficie nasączyłem olejem.

– Ciekawe, czy jest sprawny? – Szepnąłem pod nosem. – Może powinienem któregoś dnia przekonać się o tym?

Składając gnata, zacząłem się zastanawiać, czy ktoś zginął od kuli wystrzelonej z tego pistoletu? Wiele bym dał, żeby poznać

historię tej broni i to, w jaki sposób trafiła do podsufitowej belki w warsztacie wronieckiego więzienia. Spoglądałem na przedmiot i wiedziałem, że nigdy nie poznam tajemnic, które skrywa. Nagle w mojej durnej głowie zaświtały iście szalone myśli. A może powinienem z niej zrobić użytek? Może ta spluwa mogłaby mi pomóc? Przed oczami wyobraźni zobaczyłem samego siebie, jak wkraczam do siedziby banku PKO, w którym miałem konto. Wyciągam lugera, oddając kontrolowany strzał w powietrze i mówię do przerażonych pracowników:

– To jest napad! Dawać szmal! – Po czym rzucam w kierunku kasjerki mój podróżny worek.

Potem oczywiście daję się obezwładnić i aresztować. Policja wyprowadza mnie skutego w kajdany, sąd, wyrok i wracam do pierdła. To byłby kurde numer, no nie? O takim zajściu rozpisywałyby się wszystkie gazety, jak Polska długa i szeroka. Już widzę te nagłówki: „Dziewięćdziesięcioletni mężczyzna napada na bank!” albo „Zuchwały rabunek uzbrojonego starca”. Trąbili by o tym w radio i telewizji. Kto wie, może nawet okazałbym się najstarszym grabieżcą świata...

– Aleś ty głupi! – Powiedziałem półgłosem, siląc się na wesoły ton.

Chciałem przed sobą zachować pozory, że to tylko durne gadanie, ale w głębi duszy wiedziałem, że moje myśli były szczere. Taki incydent powiódłby mnie do miejsca, za którym tęskniłem.

– Nie powinni mnie wypuszczać na wolność. Nie powinni tego robić – usłyszałem słowa płynące z moich ust.

Plany, które miałem na popołudnie i wieczór, trafił szlag. Nie przeczytałem ani strony, nawet książki nie wzięłem do rąk. Siedziałem gapiąc się w okno i walczyłem z przerażającymi myślami. Zdrowy rozsądek podpowiadał mi, że chyba nie powinienem posiadać broni, bo jeśli mi odbije, to któregoś dnia faktycznie mogę popełnić coś idiotycznego.

Tamtej nocy przyśniło mi się, że palnąłem sobie w łeb.

Z początkiem grudnia anomalia pogodowe z dnia na dzień przygnały falę arktycznych mrozów i spadł pierwszy śnieg. W radio zapowiadano, że nocami temperatura może zejść nawet kilkanaście stopni poniżej zera. Powiem wam, że kiedy biały puch przykrył brzydotę tego świata, poczułem się zdecydowanie lepiej. Wiatry rozwiały całuny szarych chmur, ukazując nieskazitelną toń błękitnego nieba. Chyba czasami człowiekowi wystarczy odrobina słońca i od razu w duszy robi się raźniej. To nic, że mróz szczypał w policzki i kąsał w uszy, świętej pamięci Sven Halvorsen zapewne powiedziałby na taką pogodę, że jest zimno jak w piekle. Najważniejsze było jednak to, że za sprawą słonecznej aury, wszystko dookoła stało się piękniejsze i radośniejsze.

Pewnego dnia, a było to już w drugiej połowie grudnia, Gawroński zaczął mnie, kiedy wracałem z zakupów.

– Witaj Staszku – powiedział – mam sprawę do ciebie.

Staszku – powtórzyłem w myślach z drwiną – jakież wyszukane określenie!

– Witaj Tadeuszu – odparłem, nie kryjąc kąśliwej melodii w swoim głosie. – A jaką to masz do mnie sprawę?

– Zamieniłbyś się ze mną nocką? – Zapytał nieśmiało. – Byłbym ci bardzo wdzięczny.

Spojrzałem mu w oczy i pokiwałem głową, jakbym chciał rzec, iż jestem w stanie zastanowić się nad jego propozycją.

– Kiedy chcesz się zamienić?

– Weź za mnie wigilię, a ja wezmę za ciebie sylwestrową noc.

– Ale w takim wypadku, przestawi nam się cały świąteczny grafik – stwierdziłem. – Czyli będę musiał przyjść w wigilię i w drugi dzień świąt, tak? – Dodałem i miałem ochotę mu jeszcze powiedzieć, że niezły z niego cwaniaczek.

– No w sumie tak...

– Nie ma sprawy – nie pozwoliłem mu dokończyć. – Jednak musimy to inaczej zorganizować, bo ja chcę mieć nockę w sylwestra.

Gawroński spojrział na mnie zaskoczonym wzrokiem i rzekł:

– Myślałem, że taka propozycja będzie dobrą rekompensatą.

– Nie dla mnie Tadek – uśmiechnąłem się szczerze. – Pasuje mi wtedy przyjść, bo przez pół nocy będę mógł oglądać telewizję, a poza tym człowiek w moim wieku nie chadza już na suto zakrapiane rauty i bale. Machniesz teraz nocki w sobotę i w niedzielę, przestawi nam się cały grafik i będzie dobrze.

– W takim razie chodźmy zgłosić naszą zamianę panu kierownikowi – zaproponował.

Powiem wam jeszcze tylko tyle, że Bugajczyk był bardzo zaskoczony, iż z własnej woli dałem się wpakować w święta i sylwestra. Na szczęście nie pytał, jakie kierują mną powody.

Na tydzień przed świętami bożonarodzeniowymi okazało się, że dział socjalny przygotował wszystkim pracownikom PPR Jelcz-Laskowice upominkowe paczki. To było tak zwane „karpiove”. Każdy dostał pękata reklamówkę z wyszukаныmi łakociami. Oprócz egzotycznych owoców takich jak pomarańcze, mandarynki, banany i ananasy w puszcze, było jeszcze mnóstwo słodkości. W reklamówce znajdowały się cztery czekolady, cztery paczki cukierków, dwa opakowania ciasteczek, jedna duża bombonierka i jedna, czekoladowa figurka świętego Mikołaja.

Słodycze były mi na nic, bo definitywnie wykluczyłem cukier ze swojego menu.

Dwa dni później zobaczyłem, że do Kmicieńskich przyjechały na święta ich dzieci, razem ze swoimi pociechami. Zrobiło się trochę gwarno. Łepki biegały wte i wewte, przed klatką ulepiły bałwana i ciągle było słycać ich wesołe krzyki. Nie żebym chciał zaskarbić sobie czyjąś przychylność, ale stwierdziłem, że dam moje słodycze sąsiadce i przynajmniej dzieciaki będą z tego powodu szczęśliwe.

Następnego dnia przed południem, trzymając w dłoni reklamówkę, zapukałem do drzwi Kmicieńskich. Małżonka Babinicza

o mało nie zemdląca na mój widok. Mówię wam, musielibyście widzieć jej minę. Dawno nie widziałem tak zaskoczonej osoby.

– Dzień dobry pani Aleksandro – powiedziałem i posłałem jej uśmiech.

– Dobry dobry – odparła i zapytała: – Coś się stało?

– Widzę, że macie gości i od kilku dni gromadka wesołych szkrabów nieźle dokazuje – rzekłem spokojnym tonem, mając na uwadze, żeby sobie nie pomyślała iż ten fakt mi przeszkadza. – Nie jadam słodyczy – wyjaśniłem – więc szkoda, żeby się zmarnowały, a dzieciom na pewno sprawią radość. – Miałem wrażenie, że Kmicieńska na dźwięk moich słów poczuła się cholernie zmieszana i zawstydzona. – Proszę, pani weźmie dla dzieci – wcisnąłem jej w dłoń foliową torbę i nadając mojemu obliczu pogodny wyraz, rzekłem: – Wesołych świąt!

– Och, dziękuję bardzo, dziękuję!

– Nie ma za co – odparłem, po czym obróciłem się na pięcie i ruszyłem w kierunku schodów wiodących na poddasze.

– Panie Stanisławie – usłyszałem jej głos za swoimi plecami. Stałem w miejscu i obróciłem się przez ramię. – Wesołych świąt – powiedziała półgłosem i spoglądała na mnie takim wzrokiem, jakby chciała mnie za coś przeprosić.

W odpowiedzi pokiwałem tylko głową i zacząłem się wspinać na półpiętro.

Prawdę powiedziawszy nie oczekiwałem, że w przyszłości nasze stosunki miałyby ulec diametralnej zmianie. Nie liczyłem na to, że kiedy przyjdą ciepłe, wiosenne dni, to będziemy wspólnie przesiadywać na ławce przed klatką i oddawać się rozmowom. Myślę, że chciałem jej jedynie uświadomić, żeby nie oceniała mnie przez pryzmat mojej przeszłości, o której nie miała bladego pojęcia.

22 grudnia Lech Wałęsa, został zaprzysiężony na Prezydenta Polski i myślałem, że nadchodzące święta były dla niego z tego powodu najszczęśliwsze w życiu. Jednak jeśli idzie o mnie, to blagam

uwierzcie, ale nie chce mi się pisać o pierwszych bożonarodzeniowych świętach, które zastały mnie na wolności. Wspominam je jako przykry i ponury okres. Powiem wam tylko, że naprawdę jest kiepsko, kiedy człowiek dzieli ten czas z samotnością.